

Drzwi w drzwi

Osoby:

On

Ona

Głos

Scena podzielona na dwa odrębne mieszkania-pokoje, dowolnie umeblowane. W jednym z nich, tam, gdzie świeci się jedynie nocna lampka, znajduje się Ona, właśnie szykuje się do snu, stąd też wynikają jej czynności. W drugim pomieszczeniu, rozświetlonym, gdzie znajduje się On (porusza się o kuli), włączony jest telewizor. Po jakimś czasie sięga po leżący na ławie telefon i wybiera numer. (Przez cały czas trwania rozmowy telefonicznej świadomie będzie zniekształcał głos, czy to poprzez trzymanie czegoś w ustach, czy też poprzez przystawienie czegoś do mikrofonu telefonu.) Po chwili w sąsiednim pomieszczeniu rozlega się dzwonek telefonu stacjonarnego z przenośną słuchawką.

Ona: (Podchodzi do aparatu) Tak, słucham.

Cisza.

Halo?!...

Pauza.

Halo!?... Co za głupie kawały...?

Odkłada słuchawkę na widelki i wraca na swoje miejsce. Po chwili ponownie rozlega się dzwonek telefonu.

Halo!

On: Dzień dobry...

Ona: Dobry wieczór.

On: Tak, oczywiście, dobry wieczór.

Pauza.

Przepraszam, tylko ściszę telewizor.

Po chwili.

Czy to pani Joanna Czaja?

Ona: Tak. Słucham. O co chodzi?

Chwila ciszy.

Halo!

On: Nazywam się Jacek Blond...

Chwila ciszy.

Ona: A więc...? Słucham. O co chodzi?

Milczenie.

Co to za głupie żarty?!

On: Nie – nie, to nie żarty. Przepraszam panią. Ja... To może głupio zabrzmieć, ale chciałem tylko... porozmawiać.

Ona: Nie rozumiem. Ze mną porozmawiać? O czym? A w ogóle, skąd pan mnie zna? Kto panu dał mój numer telefonu?

On: Nikt. Dzisiaj to naprawdę nic trudnego kogoś, że się tak wyrażę, namierzyć.

Ona: I chce pan powiedzieć, że mnie, jak pan to określił, właśnie namierzył, tak?

On: Nie.

Ona: Nie? Więc dlaczego...

On: Już powiedziałem – chciałem z panią porozmawiać.

Ona: Porozmawiać, ze mną. Pan wybaczy, ale...

On: Spotkaliśmy się już kiedyś!

Ona: Dlaczego próbuje pan się bawić moim kosztem?

On: Ależ skąd!

Ona: Bawi się pan.

On: Muszę przyznać, że teraz ja nie rozumiem...

Ona: Czego pan nie rozumie?

On: Zadzwońnięm, żeby tylko porozmawiać. Nic przecież pani nie grozi.

Ona: Zawsze tak mówią tacy jak pan.

On: To znaczy jacy?

Ona: Właśnie tacy. Dzwonią, niepokoją, mówią, że nic nie grozi...

On: Ale tak jest!

Ona: Nigdy nic nie wiadomo. Powiedział pan przecież, że mnie zna, więc...

On: Zna – zna, z widzenia tylko!

Ona: Z widzenia.

On: Tak jak w piosence.

Ona: Słucham?

On: Znamy się tylko z widzenia, jak w tej starej piosence. Zna pani? (może ją zaśpiewać lub też zawtórować zespołowi Trubadurzy) **Znamy się tylko z widzenia, a jedno o drugim nic nie wie, przez ulicę szeroką jak rzeka, uśmiechamy się czasem do siebie...**

Ona: Nie, nie znam.

On: Szkoda. Ładny utwór.

Ona: Być może. Czy po to pan do mnie zadzwonił, na dodatek późnym wieczorem, żeby mi zrobić muzyczny koncert życzeń?

On: Nie, oczywiście że nie. Chciałem tylko...

Ona: Porozmawiać. To już wiem. I właśnie rozmawiamy. Tylko nadal nie wiem, dlaczego?

On: Bo...

Milczenie.

Ona: Słucham. Bo?

On: Po prostu chciałem z kimś porozmawiać.

Ona: Nie, proszę pana, rozmawia pan ze mną, nie z kimś niekonkretnym, tylko ze mną! A to zmienia postać rzeczy. Nie uważa pan?

On: To prawda, chciałem porozmawiać właśnie z panią. Czy to zakazane? Widzi pani w tym coś dziwnego?

Ona: Wszystko. Pan nie?

On: Niby co? Słucham, niech pani mówi.

Ona: Wszystko jest dziwne, żeby nie powiedzieć dziwaczne.

On: A ściślej?

Ona: Wszystko to wszystko. Zresztą, nie mam czasu na wyliczanki. Żegnam!

On: Proszę nie odkładać słuchawki. Halo!... Bardzo panią proszę...

Ona: Wyraziłam się chyba dosyć jasno: nie mam czasu! A pan mi go jeszcze zabiera.

On: Więc zabieram coś, czego i tak pani nie ma. Zatem raczej żadna strata...

Ona: Niech pan sobie daruje tę tanią pseudofilozofię. A jeżeli to miał być dowcip, to muszę pana zmartwić – nader marnych lotów.

On: Przepraszam, bardzo przepraszam, ale...

Przedłużające się milczenie.

Ona: Niechże pan w końcu wystęka, o co pani chodzi i skończmy z tym.

On: Ja... Pani zapewne nie zrozumie tego, wyda się może nawet śmieszne, ale... To wszystko przez samotność. Proszę mi wybaczyć... Pani mówi, że nie ma czasu, ja, niestety, mam wrażenie, że mam go stanowczo za dużo.

Ona: Przykro mi, ale to pana sprawa. Ze swojej strony mogę jedynie tego panu pozazdrościć. Ja, tak się pechowo składa, mam go bardzo mało. Stanowczo zbyt mało!

On: Bo nie zna pani uczucia samotności. Dlatego tak lekko pani o tym mówi.

Ona: Być może. A w ogóle, to jak na razie jest pan jedyną osobą, która narzeka na nadmiar czasu. Z tych, naturalnie, które znam, to znaczy, z którymi spotykam się i rozmawiam.

Po chwili.

On: Rozumiem. I przepraszam, że pani przeszkadzałem. Do widzenia...

Ona: Zarazo – zaraz, jedną chwilę. Ile pan ma lat?

On: A co to ma do rzeczy?

Ona: Niech pan powie. Może jednak ma.

On: Czterdzieści. To znaczy skończyłem czterdzieści, cztery lata temu.

Ona: Więc nie musi się pan tak strasznie martwić. Na szczęście to jeszcze nie zniedołężniała starość.

On: Zapewne. Jednak, proszę mi wierzyć, wiem już również, co oznacza jazda z górki.

Ona: Przesadza pan. Czterdzieści cztery lata, to tak zwana „druga młodość” – szczególnie dla mężczyzny, więc tak naprawdę nie powinno być jeszcze zbyt dużego strachu.

On: Mistrzostwo!

Ona: Słucham?

On: Jest pani mistrzynią w pocieszaniu. Dziękuję.

Ona: Mówię tylko, jak jest, czy raczej, jak ja to widzę.

On: Okej. A pani, ile pani ma lat?

Ona: Przecież pan mnie zna, przynajmniej z widzenia, jak pan powiedział, więc to raczej żadna tajemnica.

On: Właśnie – z widzenia. Do metryki pani nie zaglądałem.

Ona: Dobrze pan jednak wie, że nie mam już dwudziestu lat.

On: Wiem również, że nie ma pani lat dwudziestu pięciu. Tylko że to jeszcze niczego nie mówi. Niczego konkretnego, naturalnie.

Ona: Więc wychodzi na to, że jestem dojrzałą kobietą – tak bym to ujęła.

On: A konkretniej?

Ona: A może jeszcze podać panu wagę, rozmiar buta, biustonosza i adres, co?

On: Nie, nie trzeba – wystarczy jedynie wiek.

Ona: Trzydzieści trzy. Zadowolony?

On: Powinna się pani cieszyć, że jest jeszcze tak młoda.

Ona: Cieszyć, pan mówi. Ale to przecież tylko jedenaście lat różnicy pomiędzy nami.

On: Dla pani „tylko”, dla mnie to jednak „aż” jedenaście lat, które, na dodatek, już nigdy się nie powtórzą.

Ona: Niech pan nie będzie śmieszny. Jedenaście lat to jeszcze nie wieczność. To nic nie znaczy. Tym bardziej w przypadku mężczyzny.

On: Być może lata nie mają tutaj nic do rzeczy, ale prawda jest taka, że ja, osobiście, czuję się staro. Wewnątrz, w środku jestem tak wypalony, pusty, że aż nieraz chce się zwyczajnie wyc!

Pauza.

Mówię głupoty, przepraszam.

Ona: Nie. Raczej...

On: Niech pani nie kłamie, nienawidzę kłamstw! Na pewno pani teraz myśli – jakiś mazgaj nie ma co robić po nocach, więc wydzwania po ludziach, niepokoi nie dając im spać...

Ona: Dlaczego pan tak mówi?

On: A nie jest tak?

Milczenie.

Sama pani widzi. Zresztą, ja to rozumiem. Bo w gruncie rzeczy cóż może panią obchodzić jakiś zwariowany histeryk dzwoniący i zakłócający ciszę nocną? Nic – tak na dobrą sprawę.

Ona: Może pan się myli? Może jednak coś się zmieniło?

On: Nie rozumiem...

Ona: Oczywiście, pana telefon oderwał mnie od ważnej czynności, dlatego mogłam być nieprzyjemna na wstępie – nie przeczę, ale teraz...

Pauza.

On: Tak, słucham. Co „teraz”?

Ona: Teraz pana telefon bardziej mnie intryguje niż złości.

On: Czyżby?

Ona: Ponoć nie lubi pan kłamstw. Ja z kolei, tak się składa, nie lubię kłamać.

On: Jednak jakoś trudno mi w to uwierzyć. Jeszcze przed chwilą chciała pani zakończyć tę rozmowę, a teraz nagle...

Ona: A teraz jest inaczej! Jak pan słusznie zauważył – chciałam. Przeszłość: było – minęło. To źle?

On: Nie. Oczywiście że nie.

Pauza.

A wie pani, co miałem zrobić, gdyby pani odłożyła słuchawkę?

Ona: Spróbowałby pan jeszcze raz...?

On: Nie. Zrobiłbym to, co Petroniusz. Tyle że bez swojej Eunice.

Ona: Chyba pan zwariował! Niech pan zmieni lekturę. Albo w ogóle przestanie czytać takie rzeczy.

On: Dlaczego? Czyż to nie piękna śmierć? Można by powiedzieć, że w pewnych okolicznościach mogłaby być nawet wymarzona.

- Ona: Żadna śmierć nie jest piękna i wymarzona. Nawet ta na barykadach w obronie jakiegokolwiek szczytnej idei.
- On: Łatwo pani tak mówić, bo nie wie, co to znaczy być samotnym. Nie zna pani udręki ciszy...
- Ona: Rozumiem, użalamy się nad sobą. Pan uważa, że jest jakoś szczególnie wyjątkowy i jedynie pan doświadczasz takich uczuć, tak?
- On: Jeżeli to miała być pociecha, to nader wątpliwa.
- Ona: Nie mówiłam tego, żeby pana pocieszać. Po prostu nie uważam, że tylko pan cierpi na samotność, tylko pan jej doświadczasz. To wszystko.
- On: Nie mówię, że tylko ja jej doświadczam, ale – że również ja!
- Ona: Powiem panu coś. Nie wiem, co pan przeszedł i dlaczego tak patrzy na życie, ale jedno wydaje mi się pewne: za bardzo pan się nad sobą rozczula. Narzeka pan na ciszę, nadmiar czasu, samotność – ja myślę, że pan się po prostu zamknął, w sobie – przed innymi, przed światem...
- On: Co pani w ogóle może o tym wiedzieć? To tak, jakby na temat przysmaków, wyrafinowanego jedzenia wypowiadał się nędzarz i wiecznie głodny człowiek.
- Ona: Może ma pan rację, może wiem na ten temat niewiele – tym bardziej, że w ogóle pana nie znam, ale tak się składa, że nie należę do ludzi jakoś szczególnie rozrywkowych i akurat wiem, jak smakuje samotność.
- On: Oczywiście mówi pani tak, żeby mnie pocieszyć?
- Ona: A niby dlaczego? Uważa pan, że nie mogę, nie jestem, czy też nie powinnam być samotna?
- On: Jakoś trudno mi w to uwierzyć – pani samotna!
- Ona: Trudno panu uwierzyć. A co pan o mnie wie? Zna mnie na tyle dobrze, że może uznać, że jest inaczej? Powiem panu

tylko, że tak jak nie szata zdoobi człowieka, tak pozory również mogą mylić. Szczególnie te wynikające jedynie z rozmowy, czy też z takiej znajomości, o jakiej pan wspomniał – z widzenia. Proszę o tym pamiętać.

On: Przepraszam. Oczywiście, ma pani rację. Po prostu nie pomyślałem, że akurat pani może być kimś, kto...

Ona: Kto? Słucham, niech pan dokończy.

On: No, kimś samotnym oczywiście.

Ona: A niby dlaczego?

On: Wygląda pani raczej na osobę otwartą, towarzyską. Przynajmniej tyle zdążyłem zaobserwować.

Ona: Zaobserwować? Pan mnie śledzi?!

On: Oczywiście że nie. Po prostu trudno nie zauważyć tego, co się wręcz rzuca w oczy.

Ona: Rzuca w oczy? Kim pan jest?! Skąd pan mnie zna?

On: Powiedzmy, że z sąsiedztwa.

Ona: Z sąsiedztwa.

On: Uhm. I skomentowałem jedynie to, co zaobserwowałem i z czego wyciągnąłem odpowiednie wnioski.

Ona: I wyszło panu, że nie jestem typem mizantropki.

On: Mniej więcej.

Ona: A może to zwykła zazdrość?

On: Zazdrość? O co? O panią?

Ona: Nie wiem. Obserwuje mnie pan, więc, posługując się pana terminologią, wyciągam jedynie odpowiednie wnioski.

On: W takim razie wyciąga je pani błędne. A tego, jak pani żyje, trudno nie zauważyć.

Ona: No proszę! Zabrzmiało to co najmniej, jakbym prowadziła jakieś rozwiązłe, godne potępienia życie.

On: Chciałem jedynie powiedzieć, że wcale nie wygląda pani na taką samotną osobę, na jaką próbuje pani teraz pozować.

Ona: Na nikogo nie pozuję, drogi panie! Odwiedzają mnie różni ludzie, ale to jeszcze o niczym nie świadczy. Samotność może dopaść każdego bez względu na ilość znajomych. To stan... Zresztą, powiem panu coś i niech pan to sobie dobrze zapamięta. Samotność kobiety a samotność mężczyzny, to dwa różne światy. I tak się składa, że dla nas jest ona znacznie dotkliwsza. Dlatego, wbrew pozorom, chyba znacznie lepiej wiem, co ona znaczy, czy też, co może znaczyć, niż niejeden mężczyzna. Ale wiem też, że nie ona jest tutaj najgorsza. Z nią można jeszcze sobie jakoś poradzić. Znacznie gorzej jest z osamotnieniem. Bo o ile, nierzadko, to samotność nas wybiera, o tyle z osamotnieniem jest na odwrót – to my je wybieramy. Zawsze jest na własne życzenie. Pan, niestety, wydaje mi się uosabiać właśnie ten drugi przypadek.

Chwila milczenia.

Halo...?

Pauza.

Halo!? Jest tam pan jeszcze?

On: Tak. Słyszę.

Ona: Mogę o coś pana zapytać?

On: Słucham.

Ona: Dlaczego akurat do mnie pan zadzwonił?

Milczenie.

Halo! Słyszysz mnie pan?!

On: Niech pani nie krzyczy, nie jestem głuchy.

Ona: Więc? Odpowie mi pan?

On: Już mówiłem: chciałem porozmawiać.

Ona: Tak, to wiem – bo czuł się pan samotny. Ale przecież nie tylko o to chodzi. Gdyby pan chciał z kimkolwiek porozmawiać, wykręciłby pierwszy lepszy numer i to wszystko. Po odbytej rozmowie nawet by pan nie pamiętał tego przypadkowego numeru. Tutaj jednak było inaczej. Tutaj zadał pan sobie trud znalezienia mojego numeru telefonu, więc musiało chodzić o coś innego, o coś więcej. Więc... powie mi pan w końcu po co ten telefon i dlaczego akurat ja?

On: Powinna pani pracować w dochodzeniówce. Nie zastanawiała się pani nad tym?

Ona: Niech pan nie czaruje tylko mi odpowie. Inaczej kończymy rozmowę.

Chwilowe milczenie.

Więc?

On: Cóż... Prawda jest taka, że... podoba mi się pani. Jest pani...

Ona: Tak? No, jaka jestem?

On: Interesująca.

Ona: A to niespodzianka! I co, mam w to uwierzyć?

On: To już pani sprawa. Ja powiedziałem swoje.

Po chwili.

Ona: Dobrze. W takim razie ja powiem, że ma pan intrygujący głos. I ładnie pan mówi.

On: Dziękuję. Ale nie musiała pani...

Ona: Należało się panu. Niejako w formie rewanżu.

On: Zatem mamy teraz w wymuszanych uprzejmościach remis.

Ona: Nie do końca. Pan jednak posiada nade mną przewagę.

On: Przewagę nad panią?

Ona: Pan wie, z kim rozmawia, ja natomiast nadal nie mam najmniejszego pojęcia, z kim mam do czynienia.

On: Jeżeli nawet jest to jakaś przewaga, jak pani twierdzi, to na pewno jest ona jedyną, na jaką mnie stać w odniesieniu do pani.

Ona: A czy w ogóle potrzebna jest panu jakakolwiek przewaga? Nie lepiej zachować w naszej rozmowie równe szanse?

Pauza.

Może jednak powie mi pan w końcu, kim jest?

On: Nikim. To znaczy nikim ważnym.

Ona: Ja też jestem nikim ważnym, a jednak pan mnie zna, coś o mnie wie.

On: To naprawdę nic zmieni.

Ona: Łatwiej mogłoby nam się rozmawiać.

On: Nie sędzę. Niech lepiej pozostanie tak, jak jest.

Ona: To chociaż niech pan powie, skąd dzwoni. Tyle chyba może pan zdradzić?

On: Oczywiście. Z domu.

Ona: Świetnie! Strasznie dużo mi pan pomógł. Dla ułatwienia może mi pan jeszcze powie, że rozmawiamy przez telefon, co?

On: Nie.

Ona: Nie? A to mnie pan zaskoczył!

On: Pani żartuje, a przecież jeszcze nie tak dawno w ogóle nie chciała pani ze mną rozmawiać, więc...

Ona: Niech pan zmieni płytę – powtarza się pan. Zresztą, myślałam, że to jakieś głupie żarty. A rozmowa, każda interesująca rozmowa w pewnym momencie wciąga.

On: I ta panią wciągnęła.

Ona: Czy gdyby było inaczej, rozmawiałbym z panem? Poza tym, jak powiedziałam wcześniej, naprawdę posiada pan

ładny głos, niezwykle ciepły. Rzekłabym nawet, że idealnie radiowy.

On: I to on właśnie panią urzekł.

Ona: Może za dużo powiedziane „urzekł”, na pewno jednak zwrócił moją uwagę. Przypomina mi... Zresztą, nieważne. Powinien pan wiedzieć jedno: że niepospolity głos, to już połowa sukcesu w rozmowie z kobietą.

On: To tylko stwierdzenie, czy może również rada, jakaś wskazówka?

Ona: A gdyby nawet?

On: Cóż, niewykluczone, że może kiedyś skorzystam z pani sugestii.

Ona: Może właśnie powinien pan.

On: Może.

Po chwili.

Ona: Więc, jak będzie?

On: To znaczy?

Ona: Powie mi pan w końcu, skąd się znamy?

Chwila milczenia.

On: Dobrze. Jestem... jestem... niezbyt odległym sąsiadem.

Ona: Już pan to mówił. To znaczy, że zna mnie pan z sąsiedztwa.

On: Właśnie.

Ona: Co „właśnie”?

On: Sama pani widzi, jak mało zwracałem pani uwagę? Chyba jednak jestem bardziej intrygujący przez telefon, niż interesujący na wizji.

Po chwili.

Ona: A ja myślę, że to chyba przesadna skromność.

On: Po prostu takie są realia. Brutalna ocena prawdy życia.

Ona: Tak pan uważa.

Pauza.

To jednak zastanawiające.

On: Co takiego?

Ona: Mieszkamy niedaleko siebie, jak pan twierdzi, a nie zamieniliśmy wcześniej ze sobą ani jednego słowa, dopiero dzisiaj... Bo chyba nie rozmawialiśmy ze sobą wcześniej, prawda?

Milczenie.

Dlaczego pan milczy? Niech mi tylko pan nie mówi, że jednak już kiedyś rozmawialiśmy, bo...

On: Nie.

Ona: No właśnie. Więc, czy to nie dziwne?

On: Nie widzę w tym nic dziwnego. W końcu dzisiejsze relacje między ludźmi tak właśnie wyglądają. Więcej wiemy o celebrytach z różnego rodzaju portali internetowych, telewizji, prasy, niż o swoich sąsiadach. Odgradziliśmy się od siebie nawzajem.

Ona: Właśnie o tym mówię. Dlatego to tym bardziej dziwne. Więcej – tak naprawdę, to jest przerażające!

On: Co się stało, że akurat pani to mówi?

Ona: Dlaczego „akurat”? Ja nie mogę tego powiedzieć?

On: Oczywiście że może pani. Tylko, jak mnie pamięć nie myli, mój telefon jeszcze niedawno panią zirytował, a teraz nagle jest pani zdziwiona i zaskoczona tym, że ludzie ze sobą nie rozmawiają. To przejaw, co najmniej, niekonsekwencji w myśleniu, albo wręcz...

Ona: No, niech pan powie – „albo”?

On: Albo wręcz hipokryzji.

Ona: Chyba jednak pan trochę przesadził.

On: A czy nie uważa pani, że ta izolacja, ten mur obojętności, który jest coraz większy i grubszy pomiędzy ludźmi, może doprowadzić do – czy ja wiem – do czegoś strasznego? Przecież niedługo okaże się, że my w ogóle nie potrafimy już ze sobą rozmawiać. Tak jak nie potrafimy już pisać listów.

Ona: Trochę to jednak pan wyolbrzymia.

On: A jak jest pani zdaniem?

Ona: Nie postrzegam tego w aż tak czarnych barwach.

On: To znaczy nic złego się nie dzieje, jest dobrze, że ludzie nie szukają ze sobą jakiegoś kontaktu, wspólnego języka, tylko przychodzą po pracy do domu, zamykają się w nim jak w jakiejś twierdzy i... to wszystko, tak? To jest w porządku? Tak powinno wyglądać nasze życie?

Ona: Nie powiedziałam tego. Ale też nie wszyscy tak robią. Pan uogólnia.

On: To prawda – uogólniam. Bo zdecydowana większość tak właśnie postępuje! A ci, co jeszcze tak nie robią, z czasem podporządkują się ogółowi. Wspomni pani moje słowa.

Ona: **Mój dom moją twierdzą, jak Anglicy twierdzą.** I nie widzę w tym nic nagannego. Każdy ma święte prawo do swojej prywatności w tej małej enklawie, jaką jest jego własne mieszkanie.

On: Grobowiec raczej. Bo te wszystkie bloki, w których żyjemy, to nic innego jak takie katakumby, w których wszyscy zostaliśmy pogrzebani jeszcze za życia.

Ona: Bardzo mocne słowa. Ale ja wcale tak się nie czuję. To znaczy nie czuję się żywym umarlakiem, jak to pan zasugerował.

On: W takim razie zazdroszczę pani.

Ona: Czego? Po prostu więcej optymizmu, to wszystko.

On: Mówi pani o tym tak lekko, tak beztrosko, jakby nie było do wykonania nic prostszego pod słońcem.

Ona: Bo tak jest. Po co to komplikować?

On: A jak pani myśli, ile można walczyć – rok? Dwa, pięć, dziesięć lat? No, ile?

Ona: Dopóki się jest. I chce się być. Bo właśnie ta chęć jest najważniejsza!

Po chwili milczenia.

On: A pani?

Ona: Co – ja?

On: Udaje się pani zwyciężyć, oczywiście.

Ona: Myślę, że tak. Odnoszę raz większe, innym znów razem mniejsze, ale zawsze zwycięstwa. Chociaż porażek, naturalnie, nie da się uniknąć – to normalne i niejako wkalkulowane w nasz byt.

Po chwili.

On: Nie wiem, może ma pani rację. Może rzeczywiście trzeba walczyć. Problem w tym, że mnie już na żadną walkę nie stać. Nie chce mi się. Zresztą, nie nadaję się do tego, nigdy się nie nadawałem. Nie umiem...

Ona: **Nie nadawałem się, nie umiem, nie chcę** – co to za gadanie?! Trzeba się w takim razie tego nauczyć i tyle! Z tym jest tak, jak ze wszystkim – niektórzy rodzą się z pewnymi przymiotami i tym jest łatwiej, inni przychodzą na świat bez nich i dlatego muszą z siebie więcej wykrzesać. Niejako wytrenować.

On: Nie, nic z tego. Nie chcę uczestniczyć w tym wyścigu szczurów w klatce.

Ona: Więc przegra pan.

On: Przegra? (do siebie) Tak. Właściwie, to ja już przegrałem.

Milczenie.

Ona: Halo...?

Pauza.

Jest tam pan jeszcze? Halo!

On: Tak, jestem tutaj.

Ona: Pan coś powiedział, ale tak cicho, że w ogóle nie zrozumiałam. Mógłby pan...

On: Mówiłem...? Nie, nic nie mówiłem, zdawało się pani. Musi pani chyba przejść się do lekarza.

Ona: Ja do lekarza? O co panu chodzi?

On: No, słyszy pani jakieś głosy, więc...

Ona: Żartuje sobie pan. Ale to dobrze, to bardzo dobrze, bo to znaczy, że już jest znacznie lepiej.

On: Rzeczywiście. Jest tak lepiej, że lepiej nie mówić jak jest. Bo tak naprawdę, to lepiej już było.

Ona: Więc milknę, żeby nie zapeszać.

Dłuższe milczenie.

On: Halo?... Halo!

Pauza.

Jednak. Wiedziałem...

Ona: Co pan wiedział?

On: Nic.

Ona: Niech pan powie.

On: Byłem pewien, że się pani rozłączy.

Ona: I pomylił się pan. A to może świadczyć tylko o jednym: że zupełnie nie zna się pan na kobietach.

On: Niewykluczone.

Ona: No dobrze, a gdybym rzeczywiście się wyłączyła, to co?

On: Spróbowałbym znowu.

Ona: Aż tak bardzo jest pan zdeterminowany? Czy po prostu uparty i nie lubi porażek?

On: Porażek?

Ona: Zakończyłabym w końcu rozmowę. Niektórzy mężczyźni takie rzeczy odbierają strasznie ambicjonalnie. Jako afront.

On: Nie ja. Widocznie należę do innego gatunku mężczyzn.

Ona: Widocznie.

On: Zaskoczona?

Ona: Prawdę mówiąc jest mi to obojętne. Ale to dobrze, że tak pan do tego podchodzi, łatwiej mi będzie przerwać tę rozmowę.

On: A ja mam nadzieję, że jednak pani tego nie zrobi.

Ona: A niby co może mnie powstrzymać? Pan?

On: Nie. Pani sama.

Ona: Ja?

On: Widzi pani – ta rozmowa niezmiernie dużo mi dała i nie chciałbym, żeby skończyła się tak nagle, bez szans na...

Ona: No, słucham. Niech pan dokończy.

On: Na kontynuację.

Ona: Kontynuację. Czego?

On: Oczywiście dalszej rozmowy.

Ona: To miłe, co pan mówi.

On: Nie mam powodów do kłamstw. I chciałbym, żeby pani wiedziała, że cieszę się, że jednak nie odłożyła pani słuchawki. Rozmowa z panią była, to znaczy jest dla mnie bardzo ważna.

Ona: Powiedzmy, że... wierzę panu. Chociaż nie, raczej spróbuję uwierzyć.

On: Świetnie. Bo to najszczęśliwsza prawda!

Ona: Oczywiście. Jak to, że już mnie pan kocha i gdy tylko się spotkamy poprosi mnie o rękę.

On: Doskonały pomysł! A może byśmy się rzeczywiście spotkali?

Po chwili.

Pani się śmieje, a ja mówię poważnie. Na przykład jutro. Co pani na to?

Ona: Nie umawiam się z nieznajomymi.

On: Dlatego właśnie spotkajmy się. To najlepszy sposób, żeby zostać znajomymi. Lody obcości zostaną stopione!

Ona: Proszę pana, porozmawialiśmy sobie, było miło, niech tak zostanie.

On: Nie rozumiem. Przecież to tylko niewinne, nic nieznaczące spotkanie.

Ona: Czy ja naprawdę mówię niewyraźnie? Mimo późnej pory i zmęczenia jestem miła, rozmawiam z panem, a pan wszystko chce popsuć. Dlaczego? Czy wy, mężczyźni, zawsze musicie kobietę zniewolić, stłamsić, bo tak wam pasuje?!

On: Ale ja naprawdę...

Ona: Oczywiście, ja nie chciałem, to tylko taki niewinny żarcik. Wie pan co – nie chce mi się tego słuchać.

On: Kiedy ja nic złego nie miałem na myśli, jedynie spotkanie...

Ona: To bez sensu. Dobranoc panu.

Rozłącza się, a następnie odkłada słuchawkę na widelki aparatu.

On: Halo?

Pauza.

Halo!?... Nie wierzę! Rozłączyła się.

Ona: (do siebie) Spotkanie. Jutro... Tak, jutro to dobry termin na początek. Na każdy zresztą początek.

Po chwili On ponownie próbuje uzyskać połączenie. W słuchawce słychać krótki dźwięk, jakby realizowane było inne połączenie.

On: Już ja ci znajdę zajęcie, moja pani.

Ponownie próbuje się dodzwonić.

Zajęte, cholera!

Po kilku bezowocnych próbach uzyskania połączenia, rezygnuje. Na miejsce krótkich dźwięków braku połączenia, pojawia się muzyka zespołu Kult i utwór zatytułowany *Arahia*.

Koniec odsłony I

Odłona II

Te same pomieszczenia kilkanaście minut później, ci sami bohaterowie. Po chwili dzwoni telefon.

Ona: Słucham.

On: Dobry wieczór.

Ona: Halo?!

On: Dobry wieczór. To ja.

Ona: Obawiam się, że to pomyłka.

On: Czy to numer 19890917?

Ona: Tak.

On: No właśnie. Więc to nie pomyłka.

Ona: A ja panu mówię, że pomyłka.

Przerywa rozmowę i rozłącza się.

On: Ale ja... Halo?... Halo! Nie wierzę, odłożyła jednak! Kobiety. A potem mają pretensje, że nie chce się z nimi rozmawiać, słuchać ich, że się ich w ogóle nie rozumie. Co za przewrotna natura! Ale ja ciebie wysłucham, tak jak i ty wysłuchasz mnie. (W międzyczasie ponownie wybiera ten sam numer.) Dziewięć, zero, dziewięć, jeden, siedem. No, teraz sobie pogadamy.

Po chwili.

Ona: Znowu pan? Chyba jasno się wyraziłam: pomyłka!

On: Chciałbym zwrócić pani uwagę, że w ten sposób nie kończy się rozmowy, to znaczy ludzie dobrze wychowani nie kończą w ten sposób żadnej rozmowy.

Ona: Słucham?

On: Mówię, że choć odrobina kultury wymaga...

Ona: Chyba się przesłyszałam. A może już śnię? Pan mnie uczy kultury, akurat pan?! Naprawdę trzeba mieć tupet! Co pan sobie w ogóle wyobraża? Wydzwania pan po nocy,

niepokoi ludzi, którzy chcą iść spać i na koniec strzela gadkę o kulturze? Albo jest pan do tego stopnia nieświadomy że aż bezczelny, albo najzwyczajniej w świecie jest pan świadomie bezczelny. Co zresztą na jedno wychodzi. Więc lepiej niech pan zamilknie i się rozłączy, jeżeli posiada pan właśnie choć odrobinę kultury i przyzwoitości.

On: Teraz chce mnie pani obrazić, naturalnie. Proszę bardzo – dla mnie to nic nowego. Ja i tak już dawno zwątpiłem w człowieka.

Ona: Niech pan nie tragizuje – nie mam ochoty na śmiech. Ale jedno mogę panu poradzić: jeżeli tak bardzo cierpi pan na nudę i nie wie, co ze sobą zrobić, niech pan się wybierze do piaskownicy. Przy zabawie czas mija i milej i, chociaż to pozór, szybciej. Do widzenia.

On: Proszę się nie rozłączać! Bardzo panią proszę.

Ona: Czy pan naprawdę nie rozumie, że to nie ma najmniejszego sensu? Myślę, że panu potrzebny jest całkiem inny rozmówca.

On: Inny? To znaczy jaki? Co pani ma na myśli?

Ona: Inny to inny. Na pewno nie ja. To wszystko.

On: A ja mam wrażenie, że pani świadomie zasugerowała mi coś, co...

Ona: Przykro mi, ale w ten sposób nie będę z panem rozmawiała. Żegnam.

Odkłada słuchawkę i wraca do przerwanych wcześniej czynności, czyli przygotowań do snu.

On: (do siebie) No nie, znowu się rozłączyła! Jeżeli myślisz, że to tak się skończy, że odpuszczę, to jesteś w grubym błędzie. Nic z tego.

Po raz kolejny wybiera numer jej telefonu.

Dziewięć, jeden, siedem.

W sąsiednim pomieszczeniu rozlega się dzwonek telefonu. Po dłuższej chwili wahania ona podnosi słuchawkę, ale w następnej chwili odkłada, przerywając w ten sposób połączenie.

On: Uparta jesteś – świetnie! Bo ja też tak łatwo się nie poddam. Jak mi na czymś oczywiście zależy. Wiedz, że **trafiła kosa na kamień**.

Podchodzi do barku, otwiera go, następnie nalewa sobie do szklanki alkoholu, pije. Przerzuca programy w telewizji, po czym odrzuca pilota na łóżko.

Tak, moja miła – czas ponownie rozpocząć nasz spektakl.

Ponownie wybiera numer jej telefonu. W pomieszczeniu obok rozbrzmiewają trzy długie dźwięki.

Odbierz!

Jeden dźwięk telefonu.

Proszę...

Ona: Halo...?

On: Chciałbym...

Ona: Niech mi pan da w końcu święty spokój! Proszę.

On: Ale...

Ona: Naprawdę potrzeba panu tłumacza? Powiedziałam chyba wyraźnie – nie będę z panem rozmawiała! Jasne?

On: Tak, ale ja... chciałem panią przeprosić... Naprawdę nie chciałem, żeby nasza rozmowa tak się skończyła.

Ona: Proszę pana, nie chcę być nieuprzejma czy też nieprzyjemna, ale pan mnie zmusza, żebym tak się właśnie zachowała. Dlatego, jeżeli natychmiast pan się nie rozłączy, zadzwonię na policję.

On: Nie zrobi pani tego.

Ona: Zrobię.

On: Nie.

Ona: Strasznie jest pan pewny siebie.

On: To nie pewność siebie, to raczej wiedza, że pani tego nie może zrobić.

Ona: A niby dlaczego? Pan mi nie pozwoli?

On: Poniekąd. Ale przede wszystkim techniczne możliwości.

Ona: Czyżby?

On: Właśnie tak.

Ona: No nie, nie dosyć że jest pan irytujący, to na dodatek jeszcze groteskowy. Zrobię, co będę chciała i uważała za stosowne i nikt mi w tym nie przeszkodzi. A pan na pewno najmniej. Rozumiemy się?

On: Uparta pani jest.

Ona: Słucham?

On: Powiedziałem pani: technicznie jest to niemożliwe, więc może lepiej skończmy z tym i porozmawiajmy.

Ona: Prowokuje mnie pan. Ale dobrze – sam pan tego chciał.

Wyłącza się, po czym w następnej chwili chce gdzieś zadzwonić, jednak nie może: on nie odłożył słuchawki i dlatego kolejne połączenie nie jest możliwe do zrealizowania.

Ale upierdliwy typ. Uczepi się taki, jak szczenię cycka i nie wie, kiedy puścić.

Pomimo kilku prób nie może uzyskać połączenia.

On: Zawsze muszą sprawdzić, nigdy nie uwierzą człowiekowi. Po kim to macie? Przecież pramatka Ewa nie była taka podejrzliwa.

Ona: Co się dzieje z tym telefonem? Zwariować można!

Zrezygnowana odkłada słuchawkę i wychodzi z pomieszczenia. Po chwili wraca ze szczoteczką do zębów w buzi. Rozgląda się. Gdy natrafia wzrokiem na szczotkę do włosów zabiera ją, a następnie wychodzi. Po jakimś czasie ponownie rozlega się dzwonek telefonu. W tym momencie słychać uderzenie kubka plastikowego o dno umywalki. Po chwili dołącza do tego suche uderzenie szczoteczki do zębów. Wraca. W rękach trzyma ręcznik, którym wyciera sobie usta po umyciu zębów, a następnie ręce.

Słucham!

Cisza.

Halo!?!...

On: To ja. I co, sprawdziła pani?

Ona: Sprawdziłam, sprawdziłam. A pan pewnie zadowolony, co? Pełny triumf!

On: Nie szczytuję, jeżeli o to chodzi. To znaczy, przepraszam, nie triumfuję, dla ścisłości.

Ona: Powiem panu coś i niech pan sobie dobrze to zapamięta, bo nie lubię się powtarzać. Moja cierpliwość powoli się kończy. Może ziemia wspaniałomyślnie wykazuje jej więcej w stosunku do pana, ze mną jednak jest inaczej. Dotarło?

On: Nie było to miłe.

Ona: A czegoż pan się spodziewał? Właśnie szykuję się do snu, a pan uparcie wydzwania pan po nocy jak jakiś maniak...

On: O, przepraszam, jest jeszcze wieczór. Co prawda późny, ale jednak wieczór.

Ona: Może dla pana. Ja do południa nie gniję w łóżku. I tak się dziwnie składa, że właśnie ta pora jest dla mnie nocą. A w

ogóle, to czego pan oczekuje? Czego się spodziewa? Że co ja zrobię – adoptuję pana?

On: Nie.

Ona: No właśnie. Więc sam pan widzi, że nasza rozmowa nie ma najmniejszego sensu.

On: Myli się pani. Ja jej potrzebowałem. Nadal potrzebuję.

Ona: W takim razie podam panu numer telefonu zaufania. Tam na pewno wysłuchają pana z zainteresowaniem i udzielą fachowej porady. Ja do tego zupełnie się nie nadaję. Tym bardziej o tej godzinie.

On: Dlaczego tak bardzo mnie pani nie lubi?

Ona: Myli się pan. Nie znam pana.

On: Można kogoś nie znać, a jednocześnie nie lubić. Podświadomie.

Ona: Jeżeli już miałabym w ogóle odczuwać coś w stosunku do pana, to mogłaby to być najszybciej obojętność.

On: Jeszcze lepiej! Pani naprawdę nie ma serca i chce mnie upokorzyć?

Ona: Drogi panie, czego pan w końcu chce? Nie nie lubię – źle, jestem obojętna – to samo. Pan wybaczy, ale nie mogę pana kochać po pół godzinie rozmowy. I to na dodatek przez telefon!

On: A głos?

Ona: Co „głos”?

On: Powiedziała pani, że mam radiowy głos. Ponoć panią oczarował.

Ona: Powiedziałam, że jest miły, pasowałby do radia.

On: Czyli jednak nie oczarował i nie zniewolił?

Ona: Niech pan da już spokój z tą błazenadą. Pożartowaliśmy, teraz najwyższy czas pójść spać.

On: W takim razie spotkajmy się!

Ona: Słucham?

On: Spotkajmy się. Wtedy na pewno... na pewno mnie pani polubi. Może nawet... pokocha.

Ona: Na pewno, to ziemia kręci się dookoła słońca, a John Lennon nie żyje. Też pan wymyślił – pokocha!

On: Niech pani da sobie szansę.

Ona: Sobie?

Pauza.

(ze śmiechem) Ależ mnie pan rozbawił!

On: No dobrze, niech pani da ją mnie – wtedy zobaczymy. W końcu nic pani nie ryzykuje.

Pauza.

Co pani na to?

Ona: Zastanowię się.

Cisza.

Halo...?

On: Tak, jestem.

Ona: Dlaczego nic pan nie mówi? Stracił pan nagle głos? Czy może pewność siebie?

On: Przez moment pomyślałem, że może rzeczywiście ma pani rację...

Ona: O, wątpliwości kogoś tutaj dopadły. W gadce to jesteśmy mocni, co?

Po chwili.

On: Nie w tym rzecz. Po prostu pomyślałem, że może ma pani rację. Dlatego chciałbym panią przeprosić i przyrzec, że to już się nie powtórzy.

Ona: To znaczy, co się nie powtórzy?

On: Telefony. Nie będę już pani niepokoił...

Ona: Zaraz – zaraz, proszę mi powiedzieć...

On: Do widzenia. I jeszcze raz przepraszam.

Ona: Halo...? Halo!

Pauza.

Rozłączył się. Ale bezczelny! Najpierw wydzwania jak szalony, a teraz rozłącza się, jak gdyby nigdy nic. Nienormalny jakiś! Co on sobie w ogóle myśli – że może zadzwonić o każdej porze dnia i nocy, a na dodatek zakończy rozmowę, kiedy tylko mu się spodoba? Impertynent! Ale poczekaj – ja ci jeszcze powiem do słuchu, co o tobie myślę. Tylko zadzwoń jeszcze raz. Przekonasz się, jaka potrafię być przyjemna. Uszy ci zwiędną, mój panie!

Po chwili dzwoni telefon.

Słucham.

On: To jeszcze raz ja. Chciałbym...

Ona: Nie, teraz pan mnie wysłucha...

On: Wiem, co pani chce powiedzieć, dlatego chciałem panią przeprosić. Zachowałem się co najmniej, delikatnie mówiąc, nieładnie. Przepraszam. Ale rozumie pani...

Ona: Nie, właśnie że nie rozumiem!

On: Naprawdę mi przykro. Zapomnijmy o tym. Reset. Tak będzie najlepiej.

Ona: Dla pana chyba.

On: Dla nas obojga. A dokładnie dla naszej dalszej rozmowy.

Ona: Dalszej rozmowy? Taki pan pewny, że jeszcze będę chciała rozmawiać po tym, jak się pan zachował?

On: Nie, nie jestem pewien. Ale jestem wytrwały. Jak kropla, która drąży skałę.

Ona: Chyba raczej uparty.

On: Niech będzie. W każdym razie będę tak długo dzwonił, aż pani ulegnie.

Ona: Muszę przyznać, że nie brak panu tupetu.

On: Albo uporu, jak pani zauważyła.

Ona: A ktoś tu jeszcze niedawno mówił, że nie umie i nie lubi walczyć. Dobrze, zakończmy to lepiej na tym telefonie. Po co ma pan tracić niepotrzebnie pieniądze.

On: Pani jest bardzo troskliwa. Dziękuję.

Ona: Drobiazg. Słynę z dobroci serca (obopólny śmiech).

Po chwili.

Więc zadzwonił pan do mnie, bo się panu podobam, bo czuł się pan samotny, bo chciał pan z kimś, to znaczy ze mną porozmawiać, zgadza się?

On: Tak. Wierzy mi pani?

Ona: A czy to ma jakieś znaczenie?

On: Kolosalne!

Ona: Czyżby? Jakie? I dla kogo?

On: Dla mnie oczywiście. Nie chciałbym, żeby pani źle o mnie myślała.

Ona: Stało się coś?

On: Nie rozumiem.

Ona: Jest pan niezwykle miły. Przedtem zachowywał się pan jednak trochę inaczej.

On: Gorzej?

Ona: Pan to powiedział. Ale nie zaprzeczę.

On: No cóż, nie wiem dlaczego, ale ja niemal zawsze mam kiepski wstęp. Naprawdę nie chciałem...

Ona: Dobrze już, nic znowu takiego się nie stało, czego moglibyśmy żałować. Świat w końcu trwa dalej. Poza tym jeszcze dzisiaj, najdalej jutro zapomnimy o całej historii z

telefonem i tej rozmowie, więc nie ma sensu rozpamiętywać głupstwa.

On: Święte słowa! Powinna pani pracować w dyplomacji.

Ona: Najpierw dochodzeniówka, teraz dyplomacja – nie za dużo tego lukru?

On: Kiedy to prawda.

Ona: Przypuśćmy. Niemniej dziękuję.

On: Więc nie gniewa się pani na mnie?

Ona: Gniewa?

On: No, za moje wcześniejsze zachowanie.

Ona: Już panu powiedziałam – nie ma co rozpamiętywać głupstwa. Poza tym, gdybym się gniewała, nie byłoby tej rozmowy. I niech pan przestanie już do tego wracać, dobrze?

On: Oczywiście. Oczywiście.

Ona: Świetnie.

Po chwili.

On: Więc, jak będzie z naszym spotkaniem?

Ona: W ogóle nie będzie.

On: Dlaczego?

Ona: Bo pan sobie kpi.

On: Nie rozumiem.

Ona: A ja odnoszę wrażenie, że bardzo dobrze pan rozumie. W ogóle mam takie przeświadczenie, że coś pan ukrywa, nie jest do końca ze mną szczery.

On: Mówiłem już – podoba mi się pani.

Ona: Tak – tak, już to słyszałam. I jest pan o krok od zakochania się we mnie.

On: Mało powiedziane – ja już panią kocham!

Ona: Nie wiem czy pan zauważył, ale pan sobie żartuje moim kosztem.

On: Ależ skąd! Przyrzekam – nie chciałem pani w żaden sposób urazić. Jeżeli tak to pani przyjęła, to niezmiernie mi przykro. Naprawdę...

Ona: Skąd pan wziął numer mojego telefonu?

On: Znikąd. Wykręciłem na chybił trafił.

Ona: Niech pan w końcu przestanie nieudolnie kłamać!

On: Nie rozumiem...

Ona: Oboje wiemy, że dobrze pan wiedział, z kim rozmawia. Więc?

Po chwili.

On: Tak, ma pani oczywiście rację, należy się pani prawda. Źle zaczęliśmy.

Ona: Zaczęliśmy? Pan źle zaczął! I to bardzo, bo od kłamstwa. Bardzo miernego zresztą.

On: Przepraszam.

Pauza.

Więc dobrze, najpierw namierzyłem pani nazwisko, potem adres, a na końcu numer telefonu. Zadowolona?

Ona: A powinnam być?

On: Chciała pani wiedzieć, skąd znam numer, więc...

Ona: Pan żartuje!

On: Nawet pani nie wie, ile ten telefon, ta rozmowa dla mnie znaczą.

Ona: Jednak kpiarz z pana. Może powinien pan robić karierę na scenie? Jakiś kabaret na przykład. Zastanawiał się pan nad tym?

On: Teraz pani żartuje. Szkoda.

Ona: Ależ skąd! Nigdy to panu nie przyszło do głowy? Naprawdę? Może tutaj by pan się odnalazł! No i jest duża szansa, że nie narzekałby pan na samotność. Wyjazdy, występy, publika...

On: Ależ pani jest twarda! Zazdroszczę.

Ona: Może jednak podam panu ten numer telefonu zaufania?

On: Świetnie się pani bawi, co?

Ona: W ogóle. To pan do mnie zadzwonił i nie daje mi spokojnie pójść spać. Powinien pan o tym pamiętać.

On: Pamiętam. Nie musi mi pani o tym co trochę przypominać.

Ona: Odnoszę inne wrażenie. Zresztą, nieważne. Jedno muszę panu tutaj jednak jeszcze raz powtórzyć: za bardzo pan się rozczuła nad sobą. Myśli pan, że jest jakimś pieprzonym pępkiem wszechświata, któremu na imię... Przepraszam, nie pamiętam, jak pan się nazywa?

On: Blond. Jacek Blond.

Ona: No, zabrzmiało mocno: (ze śmiechem) jestem Swąd. Swąd stąd. Niczym Bond.

On: Widzę, że coraz lepiej się pani bawi. Ubaw po pachy, co?

Ona: Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Przepraszam. Ale tak pan to swoje nazwisko wypowiedział, jak co najmniej jeden z Bondów. Po prostu nie mogłam się powstrzymać.

Po chwili.

On: Potwierdza się.

Ona: Co znowu?

On: Że kobiety są silniejsze od mężczyzn. Jesteście, można by rzec, nie do zdarcia. Jak dobra, winylowa płyta.

Ona: Tak pan myśli. Więc dobrze, powiem panu: nie tylko samotność panu doskwiera, jeżeli chodzi o ścisłość.

On: To znaczy?

Ona: Miliony ludzi odczuwają podobnie. I nie ma w tym nic dziwnego. Bo samotność, to odwieczny refren życia – jak już ktoś kiedyś mądrze zauważył. Więc niech pan się weźmie w garść i nie odstawia tragedii, bo to nie robi – przynajmniej na mnie – żadnego wrażenia. Tani i nieskuteczny chwyt.

On: Chwyt?

Ona: Na litość. I niech pan nie udaje. Jeżeli chce się pan dowiedzieć, czym jest prawdziwa tragedia bytu, niech pan popatrzy na Afrykę, Azję, czy nawet Amerykę Łacińską, wówczas może ujrzy pan siebie i swoje w życiu w innym, szerszym kontekście i barwach. Bo teraz przypomina mi pan jedynie przestraszonego chłopczyka w krótkich spodenkach.

On: Ostro pani sobie poczyna.

Ona: Bo szlag mnie trafia, gdy słyszę, jak mężczyzna skamle! Jak pan chce wiedzieć, to ja również jestem sama, też mam prawo do użalania się nad sobą. Tym bardziej, że mam już swoje lata.

On: Trzydzieści trzy. Chciałbym tyle mieć. To naprawdę piękny wiek.

Ona: Dla pana. Zegar kobiet bije jednak inaczej – w pewien szczególny sposób szybciej, a przez to bardziej dotkliwie. Jednak nie użalam się nad sobą, nie lamentuję, nie robię z siebie, że tak powiem, żalosnej pipy. Chociaż, Bóg świadkiem, też mam do tego prawo.

On: To znaczy chce pani powiedzieć, że akurat ja zachowuję się jak ta przysłowiowa pipa, tak?

Ona: Oj, niech pan nie czepia się słówek. Mówiłam o sobie, stąd żeńskie porównanie. Chciałam jedynie panu uświadomić, że również mam powody, żeby użalać się nad sobą. Bo tak

się składa, że każdy z ludzi nigdy nie będzie do końca zadowolony ze swojego życia. Bez względu na to, jak je przeżyjemy, każdy chętnie coś by w nim zmienił, podjął inną decyzję, gdyby tylko miał taką szansę.

On: I pani też.

Ona: A co pana tak w tym dziwi? Ja nie mogę, nie mam do tego prawa?

On: Nie w tym rzecz. Naturalnie, że ma pani takie prawo. Tylko zastanawiam się, z czego taka ładna, młoda kobieta może być niezadowolona?

Ona: Uważa pan, że nie mam powodów lub też nie powinnam ich mieć, tak?

On: Nie powiedziałem tego. Zastanawiam się jedynie, jakie to mogą być powody w pani przypadku.

Ona: I nie znalazł ich pan, naturalnie?

On: Szczerze? Nie bardzo.

Ona: Typowe.

On: Słucham?

Ona: Nic. Tylko przedstawia pan punkt widzenia typowego samca: ważne są jedynie moje potrzeby, nikt więcej się nie liczy. Ja jestem pępkiem świata! Czy nie jest pan przypadkiem jedynakiem?

On: Skucha! Mam rodzeństwo. Ale doskonale panią rozumiem: tak dzieje się niemal zawsze, kiedy brakuje rzeczowych argumentów.

Ona: Bzdury pan plecie! I w ogóle, kto dał panu prawo do takiej oceny mojej osoby?

On: Jakiej oceny?

Ona: niesprawiedliwej.

On: Przepraszam, jeżeli panią uraziłem, ale...

Ona: Nie uraził mnie pan. Tylko zastanawiam się, dlaczego wy – mężczyźni tak lekko ferujecie wyroki. Co pan w ogóle o mnie wie, żeby tak sądzić? Tylko po wyglądzie, bo kiedyś mnie pan widział?

On: Już powiedziałem: jeżeli czuje się pani obrażona, to jeszcze raz przepraszam i...

Ona: A niechże już pan przestanie z tym przepraszaniem! Ciągłe tylko słyszę przepraszam i przepraszam. Niech mi pan lepiej powie, co pana skłoniło do takiego beztroskiego osądu? Zna mnie pan? Wie, jaka jestem na co dzień? Co mnie spotyka i dlaczego podejmuję takie a nie inne decyzje? Nie, kochany panie, nic pan nie wie! Nic!

On: Może jednak trochę wiem.

Ona: Tyle co zjem. Nic pan nie wie.

On: A jednak.

Ona: Co – „a jednak”?

On: Powiedziałem już pani, że ją znam.

Ona: Słyszałam. Z jakiegoś od czasu do czasu przelotnego widzenia.

On: Uhm. Ale wiem też, jak wygląda życie innych ludzi...

Ona: Proszę pana, niech pan nie będzie śmieszny.

On: Pani widzi w tym komizm, a ja w egzystencji innych ludzi widzę szablony.

Ona: I w nich pan dostrzega moje życie. Eureka! Genialne! Brawo! Szkoda tylko, że mam jedną rękę zajęętą słuchawką, bo zgotowałabym panu rzęsiste oklaski.

On: Kpi sobie pani, świetnie. Ale niech mi pani powie, tak szczerze, z ręką na sercu: czy nie jest tak, jak mówię?

Ona: Uważa pan, że moje życie w ten czy inny sposób wpisuje się w szablon?

On: Dokładnie o tym właśnie mówię.

Ona: Dobrze, że nie prowadzi pan badań socjologicznych, bo wtedy nasza nauka zesłaby na manowce.

Cisza.

Co pan tak nagle zamilkł?

On: Zastanawiam się. A gdybym pani powiedział, że jednak znam panią dużo lepiej niż tylko z widzenia?

Ona: To znaczy, jak lepiej? I co to znaczy „dużo lepiej”?

On: No, po prostu lepiej. Inaczej.

Ona: Słucham? Jak „inaczej”? Co pan przez to rozumie? Skąd? Kim pan jest?!

On: To naprawdę nieistotne...

Ona: Proszę odpowiedzieć! Albo natychmiast kończymy rozmowę.

On: Nie zabrzmiało to raczej jak prośba.

Ona: Nie mam zamiaru pana o nic prosić! Albo pan odpowiada, albo odkładam słuchawkę.

On: To szantaż.

Ona: To kwestia interpretacji. A wiec?

Dłuższa pauza.

W takim razie do widzenia...

On: Okej, okej! Jestem Krzysztof.

Ona: Jaki Krzysztof?

On: Salinas. Nazywam się Krzysztof Salinas.

Ona: (Nalewa sobie wody do szklanki.) Nie znam.

On: Wiem.

Ona: Więc skąd pan mnie zna, jak to pan ujął, „inaczej”?

On: Ależ pani dociekliwa! Ale dobrze, powiem pani. Z wyobraźni.

Ona: (Pije.) Omal się nie zakrztusiłam. Słucham? To ma być kolejny pana żarcik?

- On: Ależ nie. Poznałem panią po głosie.
- Ona: Wie pan, coraz bardziej mnie ta rozmowa irytuje. Jeżeli testuje pan moją cierpliwość, to powiem panu, że w zasadzie osiągnęła ona właśnie swoje apogeum.
- On: Chodzi o to, że wystarczy mi czyjś głos, a już wiem, z kim ma do czynienia. Tak jak oczy są zwierciadłem czyjejś duszy, tak dla mnie głos jest informacją o kimś.
- Ona: To ma być dowcip?
- On: Ależ skąd! To prawda.
- Ona: W takim razie marnuje się pan. Już panu mówiłam: mógłby pan występować na scenie. Pieniądze, sława, kariera... A może pan już jednak występuje?
- On: Nie.
- Ona: Szkoda. Mogłabym się chwalić, że mam – że się tak wyrażę – znajomego jasnowidza, czy kogoś w tym rodzaju.
- On: Pani jednak chyba nie ma serca.
- Ona: Co, mój głos to panu powiedział?
- On: Cha, cha, cha – strasznie śmieszne. Nie, nie głos, tym razem zrobiły to pani słowa.
- Ona: Jeżeli pan tak uważa, to nie widzę powodu, żebyśmy kontynuowali...
- On: Przepraszam. Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało.
- Ona: Dlaczego akurat na mnie pan się uwziął? Czy ja panu coś zrobiłam? Niech pan zadzwoni do mamusi albo tatusia – oni na pewno pana wysłuchają. Może nawet przyjadą, pogłaszczą synka po strapionej główce, utulą, a mnie pan da wreszcie święty spokój!
- On: Nie przyjadą, nie mogę – śpią.
- Ona: Doskonale! Ja nie muszę spać – oni mogą, tak? Hipokryta z pana!

On: Chciałem powiedzieć, że są starzy i schorowani, nie mogą ich niepokoić – szczególnie po nocy.

Ona: W takim razie żona...

On: Nie ma.

Ona: Wyjechała...?

On: Nie, odeszła.

Ona: Bidulka.

On: Słucham?

Ona: Nic. Powiedziałam jedynie, że nie dziwię się, że odeszła, bidulka.

On: Aha, solidarność jajników się odezwała, co? Nie wie pani, co, jak i dlaczego, ale od razu ustawiła mnie na straconej pozycji – że na pewno ja zawińłem!

Ona: Akurat to nie powinno pana dziwić. Podobnie postąpił pan w ocenie mojej osoby.

Dłuższa pauza.

Co pan tak zaniemówił? Zatkaną ruskie kakao, co?

On: (ze śmiechem) Słucham?

Ona: I co tak pana rozśmieszyło? Niech pan powie, to może pośmiejemy się razem.

On: Kakao, ruskie kakao mnie rozśmieszyło. Jak ja dawno nie słyszałem tego określenia. To się pani udało!

Ona: Cieszę się, że pana rozbawiłam.

On: I to jeszcze jak! Prawdziwa frajda. Przypomniało mi się dzieciństwo.

Ona: Świetnie. Więc to chyba dobry moment, żeby zakończyć naszą rozmowę...

On: Jeszcze chwilę! Bardzo panią proszę.

Ona: Już panu mówiłam – jestem zmęczona i chce mi się spać. Na dodatek w każdej chwili mogą zadzwonić ze szpitala...

On: Ktoś pani choruje...?

Ona: Nie. Jestem lekarzem, to znaczy lekarką.

On: Naprawdę?

Ona: Cóż pana tak dziwi?

On: Nie, nic. Tylko, przyzna pani, trochę to zaskakujące.

Ona: Nie widzę w tym niczego osobliwego.

On: A jednak!

Ona: Nie rozumiem. O co panu chodzi?

On: No, jest pani lekarzem, a mnie uporczywie odmawia pomocy. W końcu przysięga Hipokratesa...

Ona: Mój, Boże! Przecież ja od początku naszej rozmowy nic innego nie robię, jak tylko to, że panu pomagam. Problem w tym, że pan sam sobie nie chce pomóc. A bez tego, bez dobrej woli pacjenta, żaden lekarz – choćby i genialny, nic nie wskóra. To znaczy żaden od psychiki. Bo taki, myślę, byłby najwłaściwszy w pana przypadku.

On: Chce pani powiedzieć, że jestem wariatem?

Ona: Niech pan nie odwraca kota ogonem. Dobrze pan wie, że nie o to chodzi.

On: Właśnie że nie wiem. O co?

Ona: Wie pan, mam już serdecznie dosyć tej zabawy w ciuciubabkę. Do widzenia panu..

On: Nie! Jeszcze chwilę.

Ona: Co znowu?

On: Proszę się jeszcze nie rozłączać, bardzo panią proszę.

Ona: Drogi panie, naprawdę jest już późno, a ja chciałabym...

On: Właśnie teraz jest najgorsze!

Ona: Co pan znowu wymyślił? Co jest najgorsze?

On: Strach!

Ona: Słucham?

On: Im bliżej północy, tym bardziej staje się on nie do wytrzymania.

Ona: Chyba za dużo ogląda pan horrorów. Najlepiej będzie dla pana wcześniej chodzić spać.

On: Nawet pani nie wie, jak bardzo tego pragnę – właśnie snu. Ale nie mogę. Przez cały dzień ta fobia drzemie gdzieś ukryta w podświadomości, jakby uśpiona ciepłym słońcem, a wieczorem... wieczorem pojawia się znikąd i zaczyna drążyć moje ciało, mózg – i tak aż do świtu!

Ona: I co, w ogóle pan nie śpi?

On: Bardzo mało. Najwięcej w ciągu dnia. A jeżeli już uda mi się zasnąć w nocy, to męczą mnie takie myśli, że zaraz budzę się zlany potem.

Po chwili milczenia.

Ona: Właściwie nie wiem, jak mogłabym panu pomóc. Jestem jedynie zwykłym lekarzem ogólnym, nie znam się na jakichś sukubach czy inkubach...

On: Czym?

Ona: Takie złośliwe demony nocne. Inkuby zniewalają ponoć kobiety podczas snu, sukuby z kolei nawiedzają mężczyzn. Ale nie znam się na demonologii, więc nie pomogę panu. Myślę jednak, że to, co panu dolega, to po prostu zwykła prostracja.

On: Słucham?

Ona: Wyczerpanie nerwowo-umysłowe. Psychika ludzka to bardzo złożona i delikatna materia, niezmiernie podatna na różnego rodzaju załamania. Ludzie rzadko się nad tym zastanawiają, nie robią nic, żeby temu przeciwdziałać, stąd zapewne namnożyło się w ostatnim czasie tyle gabinetów terapeutycznych. Gdyby jednak wcześniej wykazali trochę więcej troski o swoją kondycję umysłową, z całą

pewnością nie byłoby tylu chorób związanych z tą sferą. Wystarczyłoby na początek trochę więcej wyciszenia, dystansu, lekkiego przyhamowania w tym opętańczym wyścigu, żeby mieć jeszcze więcej, żyć wygodniej, jeszcze trochę lepiej. Wtedy, myślę... Przepraszam, zdaje się, że trochę się zagalopowałam i niechący przybrałam głos jakiegoś mentora.

Cisza.

Halo?...

On: Tak, jestem.

Ona: Dlaczego nic pan nie mówi?

On: Bo nie wiem, jak mógłbym to skomentować. Być może to wszystko, co pani powiedziała, jest prawdą, dla mnie jednak, niestety, w ogóle nieprzydatną.

Ona: Nieprzydatną?! Przecież wszystko, co powiedziałam, dotyczy również pana.

On: Niewykluczone. Tylko że ta wiedza w niczym nie zmienia mojej sytuacji. Nadal nie wiem, co właściwie powinienem zrobić.

Chwila ciszy.

Halo?! Jest tam pani...?

Ona: Jestem – jestem. Zastanawiam się tylko, co z panem zrobić, do kogo skierować.

Pauza.

Dobrze, niech pan wpadnie jutro do mnie do szpitala na Ogrodową. Zobaczymy, co da się zrobić.

On: Niestety, nie bardzo mogę. Tydzień temu złamałem nogę i jestem najzwyczajniej w świecie uziemiony. Poruszam się tylko po domu.

Po chwili.

Ona: Dobrze, w takim razie niech pan poda swój adres.

On: Adres? Tak, naturalnie, już podaję. Ulica Miła czternaście mieszkania siedem. To jest...

Ona: Wiem, gdzie to jest.

On: Oczywiście. Druga klatka od ulicy Młodej. Bo dzisiaj... dzisiaj raczej już nie da rady...?

Ona: Słucham? Pan chyba zwariował! A to znaczy, że potrzebny panu jeszcze jeden zupełnie inny specjalista.

On: Przepraszam, nie chciałem pani irytować. Pomyślałem tylko, że...

Ona: I widocznie niepotrzebnie.

On: Nie bardzo rozumiem...

Ona: Całkiem niepotrzebnie pan pomyślał. Przecież pan wie, która jest godzina.

On: Tak, wiem. I właśnie o to chodzi! Gdyby było wcześniej zapewne jakoś bym sobie poradził. Ale mówiłem pani, co się dzieje ze mną wieczorem, gdy zbliża się noc...

Ona: Tak-tak, wiem.

Dłuższa chwila milczenia.

Dobrze, będę za piętnaście-dwadzieścia minut. Nie wiem, dlaczego to robię – musiałam chyba zwariować.

On: Dziękuję! Jest pani...

Ona: Niech pan nie czaruje, za stara jestem na tanie pochlebstwa. Tak jak powiedziałam – będę najpóźniej za dwadzieścia minut.

On: Na pewno?

Ona: Proszę pana, za kogo pan mnie ma? Jestem lekarzem!

On: Przepraszam. Oczywiście. Zatem czekam. Do zobaczenia.

Ona: Do widzenia.

Następuje koniec rozmowy.

On: (Pozbywa się czegoś, co zniekształcało mu głos.) No ładnie – trzydzieści pięć minut i dwadzieścia siedem sekund (odkłada telefon na blat ławy). To sobie pogadaliśmy, pani doktor.

Ona: (do siebie) Ach ci mężczyźni – jak dzieci. Zupełnie jak dzieci!

Przygotowuje się do wyjścia. Zanim wyjdzie z domu próbuje się gdzieś dodzwonić. Po uzyskaniu połączenia od początku rozmowy następuje powolne jej wyciszenie i wyciemnienie pomieszczenia, w którym się znajduje.

Głos: Całodobowa przychodnia, słucham.

Ona: Dobry wieczór. Doktor Czaja z tej strony,

Głos: Dobry wieczór, pani doktor.

Ona: Milenka?

Głos: Tak, pani doktor.

Ona: Mogłabyś być tak uprzejma i sprawdzić mi pewien...

Całkowite wyciemnienie jej pomieszczenia.

On: (do siebie) Prostracja! Już ja ci pokażę prostrację!

Naprawdę przygotowuje pokój na jej przyjęcie: wynosi do kuchni naczynia po obiedzie, gdzieśgdzie gdzieś coś przestawia, przeciera dłonią blat ławy; następnie wyłącza telewizor, a włącza radio. Idzie do łazienki. Po chwili wychodzi z niej z wodą kolońska którą skrapia siebie i trochę rozpyła na pomieszczenie. Po jakimś czasie rozlega się pukanie do drzwi. Idzie je otworzyć. Przez cały czas porusza się o kuli.

Ona: Krzysztof?

On: Zaskoczona?

Dłuższa chwila ciszy.

Wejdz – nie stójmy tak w drzwiach.

Ona: Nie!

On: Wszystko ci wytłumaczę. Ale najpierw wejdź. Proszę.

Ona: Nigdzie nie wejdę dopóki mi nie powiesz, o co tutaj chodzi! Bo na razie widzę, że sobie ze mnie zakpiłeś.

On: Nie zakpiłem ani z ciebie, ani z nikogo innego. Wejdź, proszę. Wszystko ci wyjaśnię.

Po chwili.

No wejdź! Mam cię błagać na kolanach? Przecież widzisz, że nie uklęknę, choćbym bardzo chciał.

Ona: Obejdzie się bez takiego cyrku. Już i tak niezły teatr tutaj odstawileś.

On: Pozwól sobie zwrócić uwagę również na twój wkład: dzielnie mi asystowałaś.

Po chwili wyczekiwania Joanna decyduje się w końcu wejść.

Ona: I tak ci nie wierzyłam. Przynajmniej nie we wszystko.

On: Wiem. Tym bardziej należą ci się moje słowa uznania.

Ona: I jeszcze ten kamuflaż głosowy – radiowy głos. Ależ jestem naiwna!

Pauza.

No dobrze, ale chyba nie po to mnie tutaj podstępnie ściągnąłeś, żeby mi prawić wątpliwe komplementy. Słucham.

Chwila ciszy.

Więc?

On: Nawet się ze mną nie przywitasz?

Ona: A czy ty się ze mną pożegnałeś?

On: Okej, wiem, pokpiłem sprawę. Ale zapomnijmy na chwilę o przeszłości. Chciałem ci powiedzieć, że... że się stęskniłem.

Ona: Co zrobiłeś – stęskniłeś się? Za mną? To coś nowego!
Dlatego zapewne odszedłeś bez słowa, dlatego nie odezwałeś się ani razu od prawie dwóch miesięcy...

On: Półtora.

Ona: Prawie dwóch miesięcy! Dlatego odegrałeś całą tę komedię – wszystko z usychającej wręcz tęsknoty właśnie za mną! I ja mam ci w to uwierzyć, tak?

On: Asiu, proszę cię...

Ona: Nie mogłeś zadzwonić normalnie, bez tego całego przedstawienia i udawania? Czego to miało dowieść? Co udowodnić? A może chciałeś mnie dodatkowo ośmieszyć? Upokorzyć? O to ci chodziło?

On: Ależ skąd! To... to samo tak wyszło. Nie planowałem tego. Ale gdy tylko usłyszałem w słuchawce twój głos, coś się ze mną stało, coś dziwnego i...

Ona: I chłopczyk się przestraszył.

On: Może to głupie, ale masz rację – obleciał mnie strach. I wtedy wszystko potoczyło się właściwie niejako lawinowo, w pewien sposób niezależnie ode mnie. Jedno kłamstwo rodziło kolejne i tak bez końca. Aż dotarliśmy do tego miejsca.

Ona: Wiesz, kim ty jesteś? Draniem!

On: Naprawdę nie chciałem...

Ona: Draniem i niegodziwcem!

On: Wiem. Wybacz mi, jeżeli potrafisz.

Ona: Przynajmniej tyle dobrze, że odczuwasz jakąś skruchę. To świadczy, że może nie jesteś jeszcze tak do końca zepsuty i jednak posiadasz coś takiego, jak sumienie.

Pauza.

Powiedz mi – dlaczego mnie okłamałeś?

On: Już ci mówiłem...

Ona: Nie chodzi mi o tę dzisiejszą rozmowę. Wtedy mnie okłamałeś. Powiedziałeś, że jesteś w Kielcach w delegacji, że mieszkasz w Krakowie...

On: Częściowo tylko skłamałem: mieszkam w Kielcach, a następnego dnia faktycznie wyjechałem w delegację, właśnie do Krakowa. Takie niewinne przedstawienie miejsc. Qui pro quo.

Ona: To nie tłumaczy wszystkiego.

On: Bałem się, to znaczy, ściślej, obawiałem się.

Ona: Czego znowu? Chyba nie mnie?

On: Wiem, że to może zabrzmieć niedorzecznie, ale bałem się, że padną zaraz jakieś wymuszone deklaracje, przysięgi. Obawiałem się utraty... swojej niezależności. Przywykłem do tego, że jestem sam, decyduję tylko za siebie, a tu nagle pojawia się ty i... wszystko, całe moje dotychczasowe życie grozi jakimś wykojeniem ze starych, utartych szyn. Wiesz – wspólna łazienka, szafa, jakieś obowiązki... Po prostu spanikowałem.

Ona: Oczywiście, o niczym innym nie myślę całymi dniami, tylko o tym, żeby złapać jakiegoś faceta, który zapewni mi... No właśnie, co takiego miałby mi zapewnić ten wymarzony i usidlony książę z bajki, czego niby dzisiaj nie mam, może mi powiesz?

On: Nie wiem. Seks?

Ona: Aleś wymyślił! Na nic lepszego cię nie stać?

On: Żartowałem.

Ona: No dobrze, zostawmy to. Powiedz mi, co takiego się stało, co cię skłoniło, żeby jednak ponownie się odezwać?

On: Widzisz, wszystko, co wtedy mówiłem o sobie, było prawdą...

Ona: Aha!

On: Oczywiście poza pewnymi szczegółikami. Tak naprawdę nie aż tak istotnymi, jakby się mogło wydawać.

Ona: Strasznie głupio się zachowałeś, cholernie niedojrzale. Wiesz o tym?

On: Wiem. Ale znaleźmy się raptem miesiąc – nie mogłem wszystkiego ryzykować, choćbym i bardzo chciał. Oczywiście, to było wspaniały czas – nie przeczę. Najlepszy, jaki w swoim życiu spędziłem z kobietą. Ale że wyrosłem już z wiary w bajki, więc nie wierzyłem, że może tak być również na co dzień. Wolałem uniknąć ewentualnego rozczarowania. Dlatego uciekłem.

Ona: Mało powiedziane – uciekłeś, to był wręcz wzorcowy przykład dezercji!

Pauza.

Mogłeś chociaż zostawić jakąś zwykłą, głupią kartkę: **Wyzdrowiałem. Dziękuję za opiekę. Cześć.** Albo: **Dziękuję za wszystko. Nigdy cię nie zapomnę.**

On: I co, zadowoliliby cię to? Naprawdę?

Ona: Nie. Ale na pewno inaczej bym się czuła. W ten sposób wyszłam na zwykłą...

On: Nie mów tak. Nawet tak nie myśl!

Ona: A jak mam myśleć? Zjawiłeś się któregoś wieczoru w mojej przychodni z jakimś tam ukąszeniem, prawdopodobnie meszki, potem ognisty romans i po nieco ponad miesiącu, po wyrwaniu, zapewne według ciebie, głupiej laski w białym kitlu...

On: Po pierwsze nie głupiej! A po drugie nie wyrwałem, tylko...

Chwila milczenia.

Ona: No, mów, słucham.

On: Powiedziałem ci już – to był mój najwspanialszy w życiu miesiąc z kobietą.

Ona: Mam to traktować jako komplement?

On: A tobie nie było dobrze?

Ona: Przecież wiesz.

On: Chcę to usłyszeć. Od ciebie. Teraz.

Po chwili.

Ona: (cicho) Było.

On: Słucham? Mogłabyś powtórzyć? Nic nie słyszałem.

Ona: Ale śmieszne! Przecież wiesz, jak było. Tego, co pojawiło się między nami, nie można ani wyreżyserować, ani tym bardziej udawać. Dlatego tak bardzo mnie zabolalo twoje zniknięcie bez pożegnania, żadnego słowa wyjaśnienia.

On: Przepraszam.

Ona: Teraz. Nie uważasz, że jednak trochę za późno?

On: Tylko tyle mogę powiedzieć. Chcesz, żebym powiedział że żałuję? Tak, żałuję. Ale wiem też, że to niczego już nie zmieni. A na swoje usprawiedliwienie najzwyczajniej w świecie nic nie mam.

Po chwili.

Ona: Ale łgarz z ciebie pierwszej wody!

On: Pozory. Wcale tak łatwo nie było, jak chcesz wiedzieć.

Ona: Odniosłam inne wrażenie.

On: Byłaś jak skała – nie do skruszenia. Już myślałem, że w ogóle nie uda mi się przekonać cię do tego, żebyśmy się jeszcze dzisiaj spotkali. Ale wyszła ta sprawa z twoim zawodem i postanowiłem uderzyć w miękkie tony.

Ona: A nie mówiłam, że jesteś drań? Ale wiedz, że podświadomie czułam, że coś jest nie tak...

On: Kobięcy instynkt?

Ona: Jeżeli oznacza to pewną nieco większą wrażliwość, to tak. Można powiedzieć, że w tym przypadku ona właśnie zadziałała. Poza tym...

W międzyczasie On podchodzi do barku, otwiera go.

On: Napijesz się czegoś?

Ona: Nie, dziękuję. Chociaż nie, może wody. Najlepiej mineralnej.

Zamyka na powrót barek i wychodzi z pomieszczenia. Po chwili wraca ze szklanką wody, którą podaje Joannie.

On: Nie dokończyłaś. Poza tym?

Ona: Myślisz, że przyszedłbym tak bez sprawdzenia, kto tu mieszka?

On: Sprawdziłaś mnie? Nie wierzę!

Ona: Nie jestem pierwsza naiwna, która pakuje się do mieszkania nieznanego, obcego faceta i to szczególnie po dwudziestej pierwszej. Nawet lekarkę w takich sytuacjach obowiązuje myślenie.

On: Nie takiego znowu obcego. Poza tym najważniejsze, że zrobiłaś to w dobrych intencjach. W końcu zareagowałaś jak rasowy lekarz z krwi i kości. Bardzo szlachetnie.

Po chwili.

Ona: Powiedz mi, czy w tym, co powiedziałeś dzisiaj, była jakaś odrobina prawdy?

On: Oczywiście! Choćby sprawa z moją nogą.

Ona: Nie wydaje mi się, żeby była złamana.

On: Jest skręcona. I to najgorsze skręcenie – trzeciego stopnia. To naturalnie nie to samo co złamanie, ale, przyznasz, też skutecznie unieruchamia.

Ona: Teraz rozumiem – nudziło ci się i postanowiłeś zadzwonić do naiwnej Joasi, która jak dobra siostra miłosierdzia poratuje w trudnej chwili, przyniesie ulgę i ukojenie.

On: Skucha. Od dawna chciałem zadzwonić i spotkać się z tobą. I nie do naiwnej Joasi, a szybciej *Matki Joanny od aniołów*.

Ona: Ha, ha, ha – ale śmieszne!

On: Wiem, masz prawo mi nie wierzyć i czuć się urażona – zachowałem się jak zwykła kanalia. Ale to z tchórzostwa. Prawda jest taka, że nie było dnia, żebym o tobie nie myślał.

Ona: I co, strach tak bardzo cię paraliżował, że zadzwonienie do mnie było niewykonalne?

On: Całkiem niepotrzebny ten cynizm.

Ona: No dobrze. A gdybym nie dała się podejść i zakończyła naszą telefoniczną rozmowę nagle, bez żadnych perspektyw na jakieś spotkanie, na jakiś ciąg dalszy, co byś wtedy zrobił?

On: W ten, czy inny sposób i tak byśmy się spotkali.

Ona: Aż taka determinacja? Nie wierzę!

On: Powiedziałem ci – od mojego zniknięcia nie było dnia, żebym o tobie nie myślał. Musiałem jednak wszystko sobie przemyśleć, poukładać. Z dała od ciebie, niejako na chłodno. Ten wyjazd miał mi właśnie w tym pomóc.

Ona: I co, pomógł? Przemyślałeś sobie?

On: Mój dzisiejszy telefon do ciebie najdobitniej chyba o tym świadczy, nie uważasz?

Ona: Nie wiem, być może.

Pauza.

I?

On: Co – „i”?

Ona: Co zamierzasz dalej, hochsztaplerze?

On: Hochsztaplerze?

Ona: Chyba że wolisz oszust – najlepiej matrymonialny!

On: Możesz mnie nazywać jak chcesz, ale jedno jest pewne: zależy mi na tobie. Tyle wiem.

Ona: Aha, i ja mam ci w to uwierzyć. Pojawiłeś się w moim życiu na nieco ponad miesiąc – nie mówię wspaniały miesiąc – potem nagle zniknąłeś bez słowa, a teraz, gdy znowu się pojawiaasz, to okazuje się, że...

On: Tak.

Ona: Słucham?

On: Zakochałem się.

Krzysztof przyciąga Joannę do siebie, a następnie całuje ją. Po chwili.

Ona: Nieźle to sobie wykombinowałeś, draniu!

On: Oprócz skręcenia nogi. Ale to było niejako kluczowe. Dzięki temu mogłem wrócić na dłużej do Kielc i spotkać się z tobą.

Ona: Łgarz! Jesteś łgarz i okrutnik!

On: Wiem, pani doktor. Właśnie dlatego zadzwoniłem do pani, żeby rozpocząć leczenie. I żeby to właśnie pani była moją terapeutką.

Ona: To prośba?

On: Więcej – błaganie! (Próbuje nieporadnie uklęknąć przed nią.)

Ona: (powstrzymuje go) Uspokój się, wariacie!

On: To jak będzie?

Ona: Zastanowię się. Na początek... Przez wzgląd na dobre wychowanie nie mówię nie.

On: Bo naprawdę uklęknę, a wtedy już nie wstanę i będzie problem.

Ona: Wariat.

On: (Odrzuca kulę i jednak klęka przed nią na jednym kolanie.)

Ona: Wstań, proszę.

Obejmuje jej nogi

Puść! Zgadzam się.

On: Przyrzeknij.

Ona: Przyrzekam.

On: Przyrzekam, że będę jedyną terapeutką Krzysztofa – bezwarunkowo i ostatecznie.

Ona: Co znaczy – „bezwarunkowo i ostatecznie”?

On: To znaczy bez żadnych warunków wstępnych.

Po dłuższej chwili.

Ona: Przyrzekam.

On: Głośniej!

Ona: Podczas tortur żadne przyrzeczenia nie są ważne.

On: Przyrzeknij! Potem będziemy się martwić o prawną stronę tego zagadnienia.

Ona: Przyrzekam.

Krzysztof ściąga Joannę na dół. Teraz oboje klęczą naprzeciwko siebie.

Zadowolony?

On: Powiedzmy, że do pewnego stopnia.

Ona: Jaki ty wybredny jesteś!

On: Zostaniesz?

Ona: To znaczy?

On: Na noc.

Ona: Ty naprawdę postradałeś rozum. Jestem zmęczona, spać mi się chce...

On: Świetnie! Tutaj jest dosyć miejsca. Dla nas dwojga aż nadto.

Ona: Nie mogę.

On: Zła odpowiedź. Ty musisz!

Krzysztof zaczyna pokrywać ją pocałunkami.

Ona: Uspokój się! Może jutro...

On: Jutro...? Jutro to będzie... albo i nie będzie.

Ona: Puść! Ty... ty oprawco!

Przewraca ją na podłogę, ale teraz do pocałunków dochodzi również laskotanie.

Ratunku!

On: Błąd. Powinnaś krzyknąć, że się pali. Inaczej nikt nie zareaguje.

Ona: Dewiant! Ratunku! Pali się!

On: Już lepiej. Ale to i tak nic nie pomoże, pani doktor. Tutaj sami staruszkowie mieszkają.

Ona: Paskudny dewiant... Gonada!

On: Co? Kto?

Ona: Gruczoł krokowy.

On: Gruczoł krokowy. Może być, dlaczego nie. Gruczoł krokowy. Podoba mi się.

Ona: Zbo... zbo... czeniec.

On: Bingo! Jestem zboczeńcem. Zboczeniec – kaczeniec. Twój kaczeniec, kochanie.

Rozbrzmiewa utwór *Zbieg okoliczności łagodzących*, zespołu Stare Dobre Małżeństwo.

KONIEC